

Jacek Kopciński

IBL PAN

## Niepokój. Historia pewnego dramatu

- nie powrócę do źródła spokoju

Z. Herbert, *Testament*

*Jaskinia filozofów*, pierwszy i najgłośniejszy dramat Zbigniewa Herberta, ukazała się w „Twórczości” we wrześniu 1956 roku na fali politycznej „odwilży”. Ingerencje cenzora w tekst utworu - dziś łatwo je wychwycić porównując pierwodruk *Jaskini* z jej rękopisem - nie pozostawiają jednak wątpliwości, w jakim państwie debiutował Herbert. Czujność urzędników z Mysiej była zresztą uzasadniona, akcja dramatu o Sokratesie rozgrywa się przecież w celi więziennej, a jej bohaterem jest człowiek skazany na śmierć za wierność swoim przekonaniom. Oczywiście otwarta dyskusja nad politycznymi sensami dramatu nie była w tym czasie możliwa, a cenzorskie ingerencje pozostawały dla czytelników zakryte. W pierwodruku *Jaskini* nie było ich zresztą zbyt wiele (np. w jednej z kwestii Strażnika „Kupcy fenicyjscy podają, że w głębi Azji żyją plemiona, które składają ofiary z ludzi” wykreślono słowo „Azja”, zastępując je słowem „Afryka”, przez co kwestia traciła wartość politycznej aluzji).<sup>1</sup> Natomiast słuchowiskowa wersja utworu (jej nagrania dokonano w styczniu 1957 roku, reżyserem była Natalia Szydłowska) została wręcz zmasakrowana! W tym wypadku PRL-owski cenzor naprawdę okazał się „współautorem” utworu, jak celnie (i ironicznie) ujęła to kiedyś Marta Fik. „To było (...) ciężkie przeżycie, widzieć karykaturę swoich marzeń” – wyznawał załamany poeta.<sup>2</sup> Rzeczywiście, ze sztuki Herberta, zwłaszcza zaś z jej *Prologu*, zostały strzępki. Na przełomie lat 50. i 60. teatr polskiego radia miał kilkumilionową publiczność i cenzor musiał działać radykalniej, niż w przypadku niskonakładowych pism literackich.

Przedmiotem tego szkicu nie będzie jednak analiza „dialogu”, jaki totalitarna władza prowadziła z pisarzami za pośrednictwem swoich urzędników – skądinąd bardzo pouczająca. Nie będzie nim także polityczna interpretacja dramatu – istotna,

---

<sup>1</sup> O cenzorskich ingerencjach w tekst *Jaskini filozofów* pisze Grzegorz Wroniewicz w pracy *Przygotowanie wydania krytycznego "Jaskini filozofów" Zbigniewa Herberta* (maszynopis).

<sup>2</sup> Z. Herbert, *Listy do Muzy. Prawdziwa historia nieskończonej miłości*, Gdynia 2000, list niedatowany, prawdopodobnie z grudnia 1957 roku. Dalsze przytoczenia korespondencji Herberta i Misiółkowej za tym wydaniem.

choć wcale niejednoznaczna, i zdecydowanie zawężająca jego filozoficzną wymowę. W *Jaskini filozofów*, sztuce granej przez niewolników pod dyktando wyposażonego w bat dozorca (jak wynika z metateatralnego *Prologu*) więzieniem jest przecież cały świat! Warto o tym pamiętać, przystępując do lektury *Jaskini*. Ale nie interpretacją samego dramatu Herberta chciałbym się tu zająć, lecz historią jego powstawania.<sup>3</sup>

Zapisana w listach Herberta do Jerzego Zawieyskiego i Henryka Elzenberga - prawdziwych mentorów poety, oraz Haliny Misiótkowej - jego pierwszej, wielkiej miłości, historia ta obejmuje siedem lat z życia dojrzewającego pisarza i ma chwilami sensacyjny, chwilami zaś melodramatyczny charakter. Niczym dzieje Hansa Castorpha, kryje przecież ślady rywalizacji dwóch znanych intelektualistów o duszę młodego artysty i pozwala zajrzeć za kulisy jego długo ukrywanego romansu z piękną mężatką... Na tym jednak nie wyczerpuje się wartość interesującej nas korespondencji i rekonstruowanej na jej podstawie historii. Zdawkowe zapiski Herberta o *Jaskini* z lat 1949-1956 (pierwsze dialogi do przyszłej sztuki odnajdujemy w jego notatnikach z 1948 roku) odsłaniają bowiem zarys zupełnie innego dramatu! Będzie to osobisty dramat młodego poety, który w zderzeniu z rzeczywistymi problemami natury egzystencjalnej i duchowej kształtował swój przyszły, tragiczny światopogląd.

## Mistrz i uczeń

Naszą opowieść rozpoczynamy w momencie, gdy dramat Herberta został ukończony i właśnie trafił do rąk pierwszego czytelnika. Jest wiosna 1955 roku. *Jaskinia filozofów* zostaje przepisana, a następnie wysłana Jerzemu Zawieyskiemu, z którym sześć lat wcześniej poeta zawarł serdeczną znajomość. Pierwsze wrażenia z lektury utworu Zawieyski zapisał w swoim *Dzienniku* pod datą 30 kwietnia:

Piękny dramat Zbyszka Herberta pt. *Jaskinia filozofów*. Rzecz o Sokratesie i jego ostatnich chwilach w więzieniu.<sup>4</sup>

Tego samego dnia wysłał też entuzjastyczny list do autora sztuki:

---

<sup>3</sup> Niniejszy tekst stanowi fragment przygotowywanej przez autora książki *Słowo poety w radiu i na scenie. Dramaturgia Zgniewa Herberta*.

<sup>4</sup> J. Zawieyski, *Dziennik*, Rkp Biblioteka Narodowa, akc. 9292

Przed chwilą przeczytałem Twój dramat – i zaraz, pod pierwszym wrażeniem piszę, by Ci donieść, że to jest bardzo piękne.<sup>5</sup>

Maszynopis sztuki Herberta nie mógł być dla Zawieyskiego niespodzianką. Młody poeta pisał mu przecież o swoim pomysle na dramat o Sokratesie już w maju 1949 roku. Kilka zdań o przyszłej sztuce zawarł w pierwszym liście do Zawieyskiego, ważnym, bo inicjującym znajomość z człowiekiem, którego już wkrótce nazywać będzie swoim „spowiednikiem”.

W moim dramacie, którego jeszcze nie napisałem – wyznawał Herbert - chciałbym wyrazić ten swój niepokój o losie człowieka skazanego na śmierć, w tragicznym losie zbuntowanego przeciwko narzuconej mu kreacji męczennika.

„To jest uczucie, które rozrasta się we mnie” – dodawał. Właśnie ów „niepokój” – doznanie o charakterze tyleż psychicznym, co egzystencjalnym - odnajdzie poeta w przeczytanej *Pieśni o nadziei* Zawieyskiego, a następnie złączy go w literackim projekcie z osobą Sokratesa. Komentując utwór starszego pisarza i donosząc mu o własnym pomysle na dramat, dzielił się więc najgłębszymi poruszeniami „zaniepokojonego” serca.

W kolejnych, znanych nam listach obu twórców z przełomu lat 40. i 50. o *Jaskini* się jednak nie wspomina, jak gdyby Herbert ostatecznie zarzucił pracę nad sztuką o greckim filozofie. Tylko raz, rekapitulując starszemu przyjacielowi dokonania pisarskie z ostatnich miesięcy, w post scriptum do listu z kwietnia 1950 r., stwierdzi krótko: „dramat dojrzewa”.

Dojrzewał przez pięć lat. Pracę nad *Jaskinią* podjął bowiem poeta dopiero wczesną wiosną 1955 roku, o czym donosił innemu ze swoich starszych przyjaciół, filozofowi Henrykowi Elzenbergowi:

Zacząłem pisać dramat antyczny oczywiście, o filozofach naturalnie. Staram się tam pokazać Sokratesa wśród wielu kręgów samotności, a także wypowiedzieć swoją zadawnioną niechęć do Platona. Całość już teraz widać rozwichrzona i wiszą nad nim wspomniane przeze mnie

---

<sup>5</sup> Z. Herbert - J. Zawieyski, *Korespondencja 1949-1947*, redakcja P. Kądziała, Warszawa, 2002, list J. Zawieyskiego z 30 kwietnia 1955. Dalsze przytoczenia korespondencji Herberta i Zawieyskiego za tym wydaniem.

potępiające słowa Pana Profesora o pewnym współczesnym dramaturgu (*jeszcze jedna parodia antyku*).<sup>6</sup>

Niewykluczone, że słowa Elzenberga dotyczyły właśnie dzieł Zawieyskiego, w 1955 roku był on już przecież autorem kilku dramatów poetyckich, osnutych na kanwie antycznej historii i mitologii. Na cykl składały się: *Lament Orestesa*, *Niezwyciężony Herakles* oraz *Tyrteusz*, a otwierał go – *Sokrates*. „Greckie” sztuki Zawieyskiego, absolutnie nieprzystające do obowiązującej wówczas doktryny realizmu socjalistycznego, wydano dopiero w tomie *Dramatów* w roku 1957. Wcześniej jednak ich fragmenty ukazywały się w „Znaku” i „Tygodniku Powszechnym”. Niewykluczone też, że krążyły wśród przyjaciół pisarza w wersji maszynopisowej, były pożyczane i głośno czytane – w taki sam sposób swój pierwszy, nieoficjalny tom wierszy upublicznił Zbigniew Herbert. Latem 1950 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” Zawieyski ogłosił pierwszy akt *Sokratesa*.

Herbert nie skomentował go nawet jednym słowem, choć do tej pory z zapałem dzielił się wrażeniami z lektury sztuk starszego kolegi. Specjalnie nas to nie dziwi. Wiosną 1950 roku dramat o Sokratesie „dojrzał” w umyśle adepta sztuki dramatopisarskiej, a latem jego początkowe partie ogłosił sam mistrz... Scenariusz dalszych wydarzeń mógł więc być następujący: dotknięty publikacją Zawieyskiego Herbert porzuca pomysł na własną sztukę o Sokratesie, by powrócić do niego dopiero wiosną 1955 roku. To, co nie było możliwe przez pięć długich lat, urzeczywistniło się potem w ciągu kilku tygodni. I oto pięć perfekcyjnie skonstruowanych aktów sztuki o Sokratesie (wraz ze szkicowanym wcześniej *Prologiem*, dwoma *Intermediami chóru* i *Epilogiem*) Herbert wysłał Zawieyskiemu. Ten utwór docenił, a dwa lata później, już po ogłoszeniu *Jaskini* drukiem, publicznie skomentował.<sup>7</sup> Analiza wypowiedzi Zawieyskiego odślania właściwe, światopoglądowe kulisy utajonego sporu, który zrodził się pomiędzy pisarzami, doprowadził do rozluźnienia ich przyjaźni i - w efekcie - powstania dramatu Herberta.

Zawieyski chwalił utwór za odkrywczność, wyraźnie jednak zaznaczając, że znajduje się on na „antypodach” jego *Sokratesa* „zarówno pod względem formalnym,

---

<sup>6</sup> Z. Herbert, H. Elzenberg, *Korespondencja*, redakcja B. Toruńczyk, Warszawa 2002, list Z. Herberta z 15 marca 1955. Dalsze przytoczenia z korespondencji Herberta i Elzenberga za tym wydaniem.

<sup>7</sup> Tekst został opublikowany w programie teatralnym, który został przygotowany z okazji papremiery jego *Sokratesa*, w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w lipcu 1957 roku. Później wypowiedź ta zyskała kształt *Noty edytorskiej*, jaką Zawieyski opatrzył *Sokratesa* w pierwszym wydaniu swoich „greckich” dramatów.

jak i zawartości ideowej”.<sup>8</sup> W jego interpretacji uwagę przykuwa słowo „samobójstwo”. Posłuchajmy:

Niedawno wybitny młodszy poeta Zbigniew Herbert ogłosił w „Twórczości” poemat dramatyczny *Jaskinia filozofów*, gdzie główną postacią jest Sokrates. W pięknym utworze Herberta mamy nowe świeże i odkrywcze spojrzenie na Sokratesa, który – jeśli dobrze zrozumiałem myśl poety – dlatego popełnia samobójstwo, że jego nauka i filozofia ponoszą klęskę w zetknięciu z życiem.

Takim odczytaniem *Jaskini* Zawieyski stawiał Herberta obok tych dramaturgów współczesnych, którzy, jak Sartre czy Camus, wprowadzali do XX-wiecznego teatru antycznych bohaterów, by świadomie kwestionować tradycyjny sposób rozumienia tych postaci. Teatralna reinterpretacja, czy wręcz dekonstrukcja wielkich, mitologicznych i historycznych narracji - związanych z imionami Tytusa, Syzyfa, Orestesa czy właśnie Sokratesa - stanowiła w ich sztukach wstęp do zupełnie nowej opowieści, której bohaterem miał być człowiek współczesny. Autor *Sokratesa* dystansował się od tego typu projektów artystycznych. W swoim autokomentarzu deklarował wierność dawnym narracjom, odnajdując w nich uniwersalną prawdę o człowieku:

Muszę przyznać, że przyjąłem na wiarę, *a priori*, wielkość tego filozofa, a jego wstrząsająca śmierć wydała mi się nie jakąś zemstą losu, nie greckim fatum, lecz czymś współcześnie tragicznym, czego jakże często w ostatnich latach byliśmy świadkami. Zrozumiałem to całkiem po prostu: że na śmierć skazany jest człowiek za niezłomność swoich przekonań i że przekonania te są obiektywną prawdą, zgodną na ogół z ludzkimi poglądami na rzeczywistość i z ludzkimi odczuwaniami. Więc ginie niewinny człowiek za prawdę!

Tragizm współczesny, o którym mowa w wypowiedzi Zawieyskiego, zostaje przedstawiony jako dobrowolna ofiara z życia człowieka niewinnego, ponoszona w imię wyznawanej przez niego prawdy. Lektura *Sokratesa* pozwala nam ustalić jej treść. Jest to prawda o wielkości i nieśmiertelności ludzkiej duszy, która poprzez cnotę i myśl oczyszcza się i kształtuje, zdążając do boskiego ideału. Ofiarna śmierć to najważniejsza próba wielkości duszy człowieka. Tej „obiektywnej” prawdy o losie Sokratesa Zawieyski nie wywiódł rzecz jasna z greckiej tragedii, ale z platońskich

---

<sup>8</sup> J. Zawieyski, *Nota edytorska do Sokratesa*, w: *Dramaty*, t. 3, opracował B. Wit, Warszawa 1986, s. 75 (pozostałe przytoczenia wypowiedzi Zawieyskiego za tym wydaniem).

dialogów (*Obrona Sokratesa*, *Eutyfron*, *Kritton*, przede wszystkim *Fedon*), uzgadniając ją z chrześcijańską koncepcją zbawczej misji Chrystusa. I chociaż dystansował się od „tendencji deifikacyjnych”, które „pragnęły widzieć w Sokratesie figuryczną postać Jezusa Chrystusa”, prawda, dobro i piękno, którymi w jego utworze promieniał filozof, przydawały mu cech świętości. Śmierć Sokratesa była krokiem w nieśmiertelność, przeczuwana przez towarzyszących mu ludzi.<sup>9</sup>

W sztuce Zawieyskiego filozofia Sokratesa nie ponosiła więc klęski w zderzeniu z życiem, przeciwnie – to życie przegrywało z wielkością myśli i postawy etycznej filozofa. Pisarz nie ukrywał przy tym, że to właśnie historyczny kontekst powstania *Sokratesa* zadecydował o kształcie głównej postaci dramatu:

W epoce brzydoty, upadku, upodlenia, kłamstwa – postać Sokratesa musiała stać się uogólnieniem, musiała wrócić do symbolu.<sup>10</sup>

Inaczej Sokrates Herberta, w którym Zawieyski dostrzegał postać niedorastającą do symbolu, swoim „samobójstwem” wręcz niszczącą wielką narrację o sobie samym.

W interpretacji Zawieyskiego Sokrates Herberta nie był ani platoński, ani chrześcijański. Bliżej mu raczej do takiej koncepcji człowieczeństwa, którą ukształtowała grecka tragedia, a w połowie XX wieku odnowili francuscy egzystencjaliści, z ich wizją życia jako śmiertelnej pułapki, zastawionej w absurdalnym, bo zmierzającym do nicości świecie, pełnym fałszywych ról, odgrywanych przez niczego nie świadomych, ale cierpiących ludzi. Bunt przeciwko własnej kondycji stanie się dla nich jedynym ocaleniem. Czy pisząc *Jaskinię* Herbert rzeczywiście stawał w jednym szeregu z egzystencjalistami, których po wojnie poznawał głównie z publikacji prasowych (począwszy od pierwszych numerów „Znaku”)? W pewnej mierze – tak. Z pewnością natomiast w takim miejscu sytuował go Zawieyski i niewykluczone, że w duchu przebijającego się do Polski

---

<sup>9</sup> Irena Sławińska, wnikliwa badaczka twórczości Zawieyskiego, wymieniała trzy ścieżki, którymi podąża jego Sokrates. Ścieżka pierwsza to wierność prawdzie („I Sokrates nie czyni nic więcej, tylko trwa przy swoim zadaniu: przekłuwając <nadęte brzuchy głupoty i fałszu>, <drapie słowa i pojęcia aż do krwi>, by sprawdzić ich rzeczywistą wartość”). Ścieżka druga to sztuka i piękno (wszak „i Sokratesa nazwą przyjaciele – pięknym”, co możliwe było tylko pod warunkiem, że uzna się, że „prawdziwa piękność nie jest w porządku natury, nie jest cielesna”). Ścieżka trzecia to dobro (które zwycięża i „w ogólnym rachunku świata” i „w każdym człowieku, skoro tylko dochodzi do poznania istotnego dobra”). I. Sławińska, *Greckie dramaty Zawieyskiego*. Postłowie. W: J. Zawieyski, *Dramaty* t. 3, opracował B. Wit, Warszawa 1986, 226-227.

<sup>10</sup> J. Zawieyski, *Nota edytorska*, dz. cyt., s.

egzystencjalizmu już kilka lat wcześniej interpretował pierwszy list młodego poety. Ten, w którym Herbert szkicował mu zamysł swojej sztuki, dzielił się swoim „niepokojem” i, jakby uprzedzając pytanie Zawieyskiego, dodawał: „nie będzie to dramat optymistyczny i (co mnie szczerze martwi) chrześcijański.”

Nie znamy odpowiedzi Zawieyskiego na list Herberta, ale czyż napisany rok później *Sokrates* nie był taką odpowiedzią? Herbert przyjął ją milcząco, ale przecież nie zerwał kontaktów z Zawieyskim. Co więcej, właśnie wtedy stały się one dla niego szczególnie ważne, o czym może świadczyć dedykacja Herberta nad jednym z pierwszych jego wierszy wydrukowanych w „Tygodniku Powszechnym”. Scenariusz wydarzeń, które nastąpiły po publikacji fragmentów *Sokratesa*, mógł więc wyglądać zupełnie inaczej.

## **Na progu Wielkiej Przygody**

Zacznijmy więc naszą rekonstrukcję raz jeszcze i zapytajmy, co naprawdę mogło skłonić Herberta do podjęcia korespondencji z Zawieyskim i zadziergnięcia z nim tak głębokiej przyjaźni? W swoich pierwszych listach Herbert zwracał się do autora *Męża doskonałego* jako do wielkiego i podziwianego artysty, którego twórczość przeżywał bardzo osobiście, choć nie wszystko mu się w niej podobało. Wątpliwości Herberta dotyczyły nieco egzaltowanej formy dramatu poetyckiego, jaka wypracował w swoich utworach Zawieyski. „Będę szczery, trudno mi było zabrać się do tej lektury” – wyznawał w liście z 22 sierpnia 1949 roku. By nie urazić swojego korespondenta, słowa krytyki wkładał w usta osoby trzeciej:

Przypomniał mi się pewien znajomy, który pokazując mi *Męża doskonałego*, mówił: „Patrz same monologi liryczne i jakieś nudne seminarium filozoficzne do tego. Przecież tak dzisiaj nikt nie pisze. Nic nie można z tego pojąć”. I z wewnętrznym przymusem zacząłem czytać.

Potem jednak Herbert przyzna się do prawdziwego „urzeczenia” dramatem, zwłaszcza zaś konstrukcją jego głównego bohatera, Hioba, który „pięknie waha się między filozofią (Bóg jako nieodwołalna przyczyna) i poezją (Bóg jako światło głębin nieba)”. Ta „wewnętrzna dialektyka”, w całości wypełniająca „rzeczywistość” Hioba, okaże się zasadniczym problemem dojrzewającego poety. Przecież to sam Herbert przez wiele lat poszukiwać będzie takiej formuły filozoficznej, która mieściłaby w

sobie poezję, i takiej formuły poetyckiej, która pozwałaby by mu pozostać filozofem – zawsze otwartym na ludzkie doświadczenie. Gdy młody poeta dociera do sedna interpretacji *Męża doskonałego*, w jego liście znowu pojawia się owo kluczowe dla niego słowo „niepokój”. „Filozofia Hioba rodzi się spontanicznie z niepokoju, piszą ją dzieje istnienia, które szuka przyczyny.” Już w kolejnym liście Herbert sam zapyta o „przyczynę”, zwracając się do Zawieyskiego w inny sposób, nie jak do podziwianego artysty, ale duchowego przewodnika w drodze do Boga.

Nie wiem, czy nie wyrzucił mnie Pan już ze swojej pamięci i serca. Tak dawno nie pisałem. Staram się zresztą nie nudzić Pana korespondencją. Natomiast często rozmawiałem z Panem w myśli, gdy szukam Boga i wiem, że już niedługo Go znajdę

– pisał w październiku 1949, ustalając między nimi nową, o wiele głębszą relację. Taką, w której literackie ambicje po prostu przestają się liczyć, a na pierwszy plan wysuwa się zasadnicza potrzeba duchowa, którą katolicki pisarz mógł zaspokoić. Kilka miesięcy później wyznawał:

Jest Pan jedynym człowiekiem, przed którym gotów jestem wyświadczyć się. Pana osoba i Pana twórczość są mi bardzo drogie i konieczne do odnalezienia Boga.

Ta korespondencyjna „spowiedź” okazuje się w gruncie rzeczy próbą odtworzenia przez samego poetę pewnego wewnętrznego procesu, który na wiosnę 1950 r. doprowadził go na próg nawrócenia.

Czytając ów list widzimy wyraźnie, jak od czasu nawiązania znajomości z Zawieyskim świadomość poety zmienia się i dojrzewa. Herbert stale posługuje się słowem „niepokój”, ale teraz nie jest ono punktem dojścia wszelkich rozważań. Przeciwnie, jest punktem wyjścia i podlega reinterpretacji.

Na początku był niepokój. Budziłem się stale z uczuciem zdziwienia zaprawionego strachem „że istnieję”, było to uczucie wewnętrznej czczości. Potem głowa zajęła się niepokojem. Rozpoczęły się moje wariackie studia, uczyłem się ekonomii, polityki, prawa, literatury i z zapałem, bez planu, czytałem książki filozoficzne. Dopiero teraz, po pięciu latach rozumiem, że był to niepokój religijny, który chciałem uciszyć szelestem kart, naiwnym wodzeniem pióra po papierze.



Z miejsca, w którym się znalazł, dostrzega w niedawnym sobie dwie uzupełniające się osoby. Pierwsza to persona poszukiwacza filozoficznego klucza do rzeczywistości. Ta jednak stale wymyka się poznaniu i wtrąca poznającego w „gorzką” rozkosz relatywizmu:

Szukałam systemu, podziałów, definicji, formułek oczywistej prawdy i wszystko wydawało mi się mało prawdziwe albo równie prawdziwe.

Z kolei epikurejski sceptycyzm, którego uczył się Herbert od Anatola France'a, nazwie poeta myśleniem „płaskim”, układaniem filozoficznej „arabeski”, tkaniem „dywanu konceptów i paradoksów”. Tymczasem on pragnął takiej myśli, która jest „przeżyciem”, „dociera do głębi” i - prowadzi do Boga.

Druga persona Herberta to obserwator własnego „życia wewnętrznego”, zauroczony samym sobą. „Cieszyłem się każdym kompleksem. Taki on ciekawy, głęboki skomplikowany” – relacjonował Zawieyskiemu, łącząc ów odkrywany w sobie narcyzm z maniakalną potrzebą autokreacji, tę zaś z właśnie poznawaną egzystencjalistyczną koncepcją człowieczeństwa:

Szalałem z radości, kiedy odkryłem zdanie Sartra, że nie ma charakterów, nie ma obiektywnych wartości w człowieku (to znaczy nie ma duszy), jesteśmy tym dla jednego, a czym innym dla drugich i to, co o nas sądzą, określa naszą osobowość. Są to uczucia automatu na stacji.

„Pokusa subiektywizmu” doprowadziła go do utraty wartości najcenniejszej: „Najtrudniej jest z tą miłością, ale to jest najważniejsze” – wyznawał i formułował serię bardzo osobistych, a zarazem zasadniczych pytań, które okazywały się pytaniami retorycznymi:

Dlaczego lubię samotność? Dlaczego nie ufam bliźnim? Dlaczego mam dla nich tanią uprzejmość? Dlaczego boję się wyznać im uczucia i myśli? Dlaczego wierni w kościele nie są mi braćmi? Dlaczego śpiewamy każdy swemu Bogu? Dlaczego?.

Odpowiedź była oczywista i prowadziła poetę do mocnego postanowienia:

Trzeba się zaangażować w miłość całym sobą. To jest jedyna droga do Najwyższego, o którym św. Augustyn mówi ślicznie „o moja słodczy”.

To, czego doświadczał Herbert wiosną roku 1950 roku, poeta nazwie „radością odkrywania chrześcijaństwa i wiary”, radością, która wcale nie łagodzi niepokoju, przeciwnie, nieraz przeradza się w „nagły, bolesny dramat”. Domyślamy się w nim zwątpienia i powrotu do porzuconych już person i ról. Wnikliwy czytelnik Pascala i Kierkegarda – autorów wymienianych w listach do Zawieyskiego - świetnie rozumie sytuację, w której się znalazł. Nie tylko rozumie – przyjmuje i akceptuje jako warunek prawdziwej wiary. Nieprzypadkowo nosił się w tym czasie z zamiarem napisania wiersza poświęconemu Jerzemu Liebertowi. Tak jak autor słynnego *Jeźdźca*, osobiste doświadczenie spotkania z Bogiem opisywał w kategoriach walki i zmagania:

Nie wiem, jak długo jeszcze będę się zmagał z łaską Tego, który jest „bardziej mną niż ja sam”. Nie chcę łatwego zwycięstwa, nie chcę łatwej przygody i wiem, że trzeba będzie szukać dalej, byle tylko dojść, byle dojść do progu.

A w innym miejscu dodaje:

I tak się męcę i szarpię, prosząc o łaskę, aby nie zginąć w przeczuciu bliskiego szczęścia na granicy Wielkiej Przygody.

Uwagę zwraca dwukrotnie powtórzone słowo „przygoda”. Najpierw będzie to przygoda „łatwa”, a więc taka, która nie wiąże się z większym ryzykiem. Herbert pragnął dotrzeć do „progu” nawrócenia w blasku pełnej świadomości, jak Pascal ogarniając i poddając Bogu wszystkie wymiary własnego człowieczeństwa. Wiedział, że gra toczy się o najwyższą stawkę, a zwycięstwo tylko wtedy okaże się prawdziwe, gdy grający zaryzykuje wszystko, co do tej pory składało się na jego życie: zewnętrzne i wewnętrzne. Ta gra męczy go, ale i fascynuje, w niej odnajduje poeta głębię i sens swojego istnienia.

Może dlatego wyglądał „przygody” także za „progiem” nawrócenia? Miała to być prawdziwie „Wielka Przygoda”, a więc taka, w której każdego dnia jeszcze więcej się rozumie i jeszcze więcej ryzykuje. „Nie ma spokoju” – zanotuje znowu, tym razem po rozmowie z Janem Dobraczyńskim, który wyda mu się człowiekiem nie

przeżywającym swojej wiary, ale ją „posiadającym”, jak posiada się poglądy czy rzeczy. „Nie ma spokoju, a dla mnie stanowisko >posiadania< jest obce i nieludzkie.” Głęboko ludzki wyda mu się natomiast dramat wiary zapisany w wierszach Lieberta:

Uczyniwszy na wieki wybór  
Każdej chwili wybierać muszę

– słynna fraza, niemal dosłownie przepisana przez młodo zmarłego poetę z listu św. Pawła, wydaje się bardzo bliska ówczesnej myśli Herberta. Wiersz o Liebercie jednak nie powstał, a Herbert chyba nigdy nie przeżył swojej „Wielkiej Przygody”.

## Głowa Muzy

Co go zatrzymało na „progu” nawrócenia? Czy wpływ na jego postawę mogły mieć ówczesne lektury poety, wśród których, niespodziewanie, znalazło się także dzieło Samuela Becketta.<sup>11</sup> Niewykluczone, choć „papier” miał w jego przypadku o wiele mniejsze znaczenie, niż życie. Pamiętajmy także, że utrwalony w listach poety z końca 1950 roku i początku 1951 czas to przecież okres niezwykle intensywnej pracy duchowej, na którą złożyły się częste, zainicjowane właśnie przez Zawieyskiego, kontakty Herberta ze środowiskiem podwarszawskich Lasek, udział w poleconych przez niego wykładach tomistycznych siostry Teresy Landy, kilkudniowy pobyt rekolekcyjny w domu zakonnym Benedyktynów tynieckich, dokąd poeta wyruszał przecież jako praktykujący katolik, głęboko przeżywający swoją wiarę. W liście do Zawieyskiego z marca 1951 roku notował w post scriptum:

Dzisiaj przystąpiłem do Komunii Świętej. Jestem uciszony, szczęśliwy, ale smutny. Po raz pierwszy po przyjęciu Komunii płakałem – oparty czołem na promykach łaski, na najniższym stopniu do Boga.

---

<sup>11</sup> „O Beckettzie marzyłem od dawna – chciałem prześledzić dialog co bardzo, myślę, pomoże mojej nowej sztuce. Mam ją nazwać *Koło* – jak podoba Ci się ten tytuł?. A może *Powrót*” – pisał Herbert w liście do Haliny Misiólkowej. Beckett w tym czasie nie wydał jeszcze żadnego dramatu (*Czekając na Godota* napisał w 1948 roku, ale ogłosił, po franusku, dopiero w 1953). Poeta mógł więc czytać jedną z jego powieści, prawdopodobnie *Molloy* wydaną w 1951 roku. Niedostępną w Polsce książkę zdobyła dla niego właśnie Misiólkowa, w tym czasie sekretarka w gdańskim ZLP.

Skąd brał się „smutek” Herberta? Jak czytamy, uczucie to towarzyszyło „szczęściu” i było jak gdyby ludzkim rewersem doświadczenia, które przekracza ludzką miarę. Czy był to żal za życiem odrzuconym, z którym Herbert ostatecznie nie potrafił się rozstać? Po powrocie z klasztoru pisał:

Pobyt w Tyńcu dał mi dużo materiału do przemyśleń. To jest cały świat, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, a raczej miałem złe pojęcie. Zrozumiałem piękno i głębię modlitwy (...). Trudno o tym pisać – trzeba to przeżyć od wewnątrz. Kiedy się modli od 5 do 7-mej wieczór, czuje się, jak odpada od nas wiele rzeczy, niepokój, troska. Jak z głębi człowieka podnosi się jedyna tęsknota do zespolenia z Bogiem. Najpierw pojawia się myśl, że to okrutne tak w sobie zabijać świat, wszystkie ludzkie przeżycia, cierpienie i miłość, a potem rozumie się chyba, że to jest konieczne. Tak brzmi ostateczny cel naszej tutaj szarpaniny. I że w Bogu to wszystko, czym się tutaj dręczymy, rozwiąże się.<sup>12</sup>

Adresatem przytoczonych powyżej słów nie był Jerzy Zawieyski, ale Halina Misiółkowa. Pisane do niej listy – po śmierci poety zebrane w tomie „Listy do Muzy” - kryją w moim przekonaniu najważniejszy składnik rekonstruowanego tu dramatu wiary Zbigniewa Herberta. Jest nim wielka („pierwsza” i „męska” jak napisze Zawieyskiemu) miłość poety do zamężnej, starszej od niego kobiety, uczucie, które w końcu doprowadziło do rozpadu małżeństwa Misiółkowej, z czym Herbert nie mógł się pogodzić. Nękanym wyrzutami sumienia, już na początku 1950 roku z największą delikatnością próbował nadać ich związkowi nową, czysto duchową postać. Zdawał sobie jednak sprawę, że zbyt późno przystępuje do tego arcytrudnego zadania. Pisał:

Jeszcze raz robię ścisły i zimny rachunek sumienia i wyznaję, że moim największym grzechem było to, że nie potrafiłem ukryć mojej miłości, a wyjawivszy ją, nie potrafiłem nasz stosunek uczynić bardziej duchowym. Byłem zbyt pochłonięty własnym szczęściem, aby zrozumieć i przeczuć to, co teraz nastąpiło. Kochałem Cię źle, nieprzytomnie. I to jest mój grzech wobec Ciebie.<sup>13</sup>

O swojej miłości i postanowieniu rozstania z ukochaną kilka tygodni wcześniej donosił Zawieyskiemu:

---

<sup>12</sup> Z. Herbert, *Listy do Muzy. Prawdziwa historia nieskończonej miłości*, Gdynia 2000, list z 2 kwietnia 1951 r.

<sup>13</sup> Z. Herbert, *Listy do Muzy. Prawdziwa historia nieskończonej miłości*, Gdynia 2000, list z 23 stycznia 1951 r.

Była to dla mnie (a właściwie jest) – próba człowieczeństwa, konkretna, angażująca mnie całego, trudna, czasem rozpaczliwie beznadziejna. Była to walka pełna upadków i buntów, i grzechu, to znów pogodzenia i ufności. W takich wypadkach najprostszym rozwiązaniem jest samobójstwo albo ucieczka. Oba rozwiązania, pozorne rozwiązania, są wstrętne. Kobieta, którą kocham, jest w sakramentalnym związku, który musi być uszanowany. A zatem wyrzeczenia. Ale nie mogę wyrzec się miłości, przez którą żyję, tylko tego, co w niej grzeszne. A zatem dramat trwa.

Trudny proces oczyszczania miłości do Haliny Misiótkowej ze wszystkiego, co zmysłowe (a przez to dla chrześcijan grzeszne z uwagi na jej sakramentalne małżeństwo) Herbert nazwie „jedną z dróg do Boga” i zaakceptuje ją. Wartość swojej wędrówki oceniać będzie po jej owocach: „Świat wydaje mi się inny, głębszy” – wyznawał Zawieyskiemu, a choć życie stało się „trudniejsze”, wyrażał Bogu wdzięczność za to „doświadczenie”. Wierzył, że oboje ich zaprowadzi ono do Prawdy. Ale sześć miesięcy później, w marcu 1951 roku, w kolejnym liście do przyjaciela, Herbert obwiniał się za krzywdę wyrządzaną ukochanej i ironizował na swój temat – artyście „pogłębiającego się” kosztem drugiej osoby.

Mobilizuję siły intelektualne, buduję filozofię wyrzeczenia, subtelny system moralny – i to jest jakaś wielka niesprawiedliwość. Bo tamten, drugi człowiek, czeka na prostą, bezpośrednią miłość. Ma prawo żądać, abym nie używał jego uczucia do budowania mojej spokojnej i moralnej samotności.

Niewątpliwie wyznanie to było reakcją poety na postawę Haliny, która, oskarżając go o religijne skrupuły, gotowa była porzucić męża i związać się z przyjacielem. Ten jednak nie potrafił zdecydować się na taki krok, zarazem jednak nie umiał wytrwać na drodze wyrzeczenia. W tej niezwykle trudnej sytuacji psychologicznej i duchowej wiara, która do tej pory stanowiła dla niego zachętę do wytrwałości, dawała nadzieję na życie głębsze i prawdziwsze, teraz stawała się przeszkodą w realizacji osobistego szczęścia, źródłem winy, samoudręczenia i poczucia prawdziwej klęski. „Szukam dna” – napisze Herbert do Zawieyskiego w sierpniu 51 roku.

W refleksji Herberta pojawi się w końcu słowo „niesprawiedliwość”. Najpierw o niesprawiedliwość obwini poeta samego siebie, wkrótce jednak przeniesie ten zarzut na Boga. W czerwcu 1952 roku tak napisze w liście do Zawieyskiego:

Trochę czytałem i myślę o Panu i Jego *Dnie studni niepamięci*. W tajemnicy Abrahama jest tyle rzeczy: cały paradoks wiary i tej najtrudniejszej dla mnie miłości Boga, która walczy z naszą słabą, ziemską miłością człowieka. Każdy z nas stanął kiedyś z otwartym nożem nad śliczną głową swego Izaaka.

Nawet jeżeli zabrzmiałoby to zbyt pretensjonalnie, nie sposób uniknąć tego skojarzenia: dla Herberta „śliczną głową” Izaaka mogła być tylko głowa Muzy. W jego świadomości następuje więc istotna zmiana. Bóg nie budzi już w nim pragnienia oczyszczenia miłości do ukochanej, wyniesienia jej na wyższy, duchowy poziom (skąd widać już było zarysy Prawdy). Wzywa go natomiast do zabicia uczuć. Jest więc tak, jakby Herbert zwątpił w możliwość wytrwania na takim poziomie życia duchowego, którego wcześniej doświadczał (lub który sobie tylko projektował), a buntując się przeciwko akceptowanemu wcześniej wyrzeczeniu, dokonuje znamiennej podmiany. W miejsce tego, co w jego miłości zmysłowe, kładzie samą miłość, pytając dramatycznie: kim jest Bóg, który każe mi się jej wyrzec? Jest Bogiem Abrahama, który na górze Moria skazuje ojca na nieludzką próbę ofiary z syna.

Herbert takiej ofiary nie chciał złożyć. Przeciwwstawiając miłość do człowieka miłości Bożej i w konsekwencji konstruując wizerunek Boga okrutnego, budował fundament swojego przyszłego, tragicznego światopoglądu. Lektura cytowanych listów pozwala sądzić, że wyrósł on z osobistego zranienia uczuć poety oraz jego niezgody na filozofię wyrzeczenia.

## **Nowy mistrz**

Wiosną 1952 roku przyjaźń Herberta z Zawieyskim wyraźnie słabnie, a ich korespondencja zamienia się w coraz rzadszą wymianę uprzejmych, ale pozbawionych poprzedniej temperatury, listów i kartek. Herbert ostatecznie porzuca drogę neokatechumena, w której towarzyszył mu Zawieyski. Od tej pory największą uwagę i niesłabnącym zaufaniem obdarzać będzie Henryka Elzenberga. Ostatecznie swoim „Mistrzem” poeta mianuje go w liście z 30 maja 1952 roku, a więc w miesiąc po tym, jak pisał Zawieyskiemu o „tajemnicy Abrahama”.

Wybrawszy Pana Profesora jako Mistrza (jest to akt absolutny i nieodwracalny) poczuwam się do obowiązku sprawozdań

– pisał Herbert, dokonując istotnej rekapitulacji swoich intelektualnych zaangażowań i rozczarowań. Poeta nazwie je „kryzysem filozoficznym”, co – zważywszy na osobisty dramat poety - brzmi jak eufemizm.

Jak wiadomo, jesienią 1951 roku Herbert podjął studia na Uniwersytecie Warszawskim, słuchał wykładów z filozofii, ale szybko z nich zrezygnował. Całkowicie uodporniony na marksizm, nie był w stanie docenić także pracy starych profesorów szkoły lwowsko-warszawskiej – ledwie tolerowanych na stalinowskiej uczelni.

Seminarium prof. Kotarbińskiego – to była dopiero męka, jakiej nie zaznałem ucząc się księgowości, procedury cywilnej i prawa kanonicznego. Był jeszcze prof. Kroński, który nawet kiedy mówił głupstwa nie ożywiał doktryny. Chodziłem na wykłady o kulturze prof. Ossowskiego, ale raz po raz to drogie dla mnie pojęcie gubiło się pod nawalem socjologii.

– donosił Elzenbergowi. Niechęć Herberta była dla autora *Kłopotów z istnieniem* całkowicie zrozumiała, sam bowiem nie szczędził on krytycznych (i ciętych!) uwag na temat neopozytywizmu szkoły lwowsko-warszawskiej i uprawiających go filozofów. W jednym z listów do Herberta nazwie ich przecież „biurokratami ścisłości”... Podobnie jak rozumiałe i bliskie mu było formułowane przez poetę pragnienie poznawania i uprawiania „filozofii autentycznej, takiej, która wypływa z najgłębszych przeżyć”, nie zaś takiej, która zakłada „pozostawanie poza siecią pojęć, w którą się rzeczywistość ujmuje” (jak o szkole lwowsko-warszawskiej w innym miejscu napisze Elzenberg).

Ale największym rozczarowaniem filozoficznym będzie dla Herberta tomizm. Jego krytyka rzuca snop światła na osobisty dramat poety, motywy jego życiowych i światopoglądowych wyborów, a także sens wielu wczesnych utworów Herberta - w tym *Jaskini filozofów*.

Namawiano mnie do studiowania tomizmu. Zacząłem chodzić na czytanie *Summy*. Rzeczywiście wiele rzeczy się układało i wyjaśniało. Poczułem się szczęśliwy i wolny. I to był pierwszy sygnał, że trzeba uciekać, coś w substancji człowieczej się przekręca. Czulem przyjemność sądzenia i klasyfikacji. A przecież człowieka bardziej określają słowa zaczynające się na nie: niepokój, niepewność, niezgoda. I czy ma się prawo porzucać ten stan.

Jeżeli list Herberta do Zawieyskiego z maja 1949 roku sygnalizował początek niezwykle ważnego dla Herberta procesu dojrzewania intelektualnego, list do Elzenberga z maja roku 1952 zwiastuje jego koniec. W pewnym sensie poeta wraca do punktu wyjścia, znowu przecież pisze o poczuciu filozoficznego „niepokoj”. O ile jednak wcześniej szukał sposobu na jego wewnętrzne przewyciężenie - stawiając pierwsze kroki na ścieżce wiary i przyjmując chrześcijańską wykładnię rzeczywistości, teraz czyni „niepokój” konstytutywnym składnikiem człowieczej „substancji” i odróżnia go od „niehumanicznego” spokoju Boga. Przymiotnik „niehumaniczny” musi tu brzmieć podwójnym znaczeniem słowa i wskazywać zarówno na doskonałość Boga, jak i jego bezwzględność w wyprowadzaniu człowieka z jego życiowego rozdarcia.

„Niepokój” staje się ostatecznie dla Herberta znakiem sprzeciwu wobec Boga, sprzeciw zaś, wieczna niezgoda warunkiem ocalenia własnego człowieczeństwa. Trudno jednak w buncie poety nie dostrzec zwykłej pychy, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie słowa wypowiedziane przez niego rok wcześniej:

Kiedy się modli od 5 do 7-mej wieczór, czuje się, jak odpada od nas wiele rzeczy, niepokój, troska. Jak z głębi człowieka podnosi się jedyna tęsknota do zespolenia z Bogiem

– pisał po powrocie z Tyńca. Teraz tę nadprzyrodzoną relację przedstawia jak trening psychologiczny i umysłową tresurę.

Bo w gruncie rzeczy – tłumaczy Elzenbergowi - cała sprawa polega na wyborze, na prostym akcie woli. Uklęknąć. Potem to już samo idzie. Asymiluje człowiek to obce ciało, utożsamia się z nim. I właściwie najczęściej to jest sprawa przypadku – spędzenia pewnej ilości godzin nad książkami pewnego typu. W podobny sposób zostaje się lekarzem lub elektrotechnikiem.

Odrzucając tomizm - i rozprostowując kolana - Herbert pójdzie za Elzenbergiem, którego przeświadczenie o sprzecznej naturze bytu stanie się najbliższe jego egzystencjalnym doświadczeniom i filozoficznym przekonaniom.<sup>14</sup> Zawieyskiemu zaś

---

<sup>14</sup> Wpływ myśli Elzenberga na poezję Herberta to osobny, bardzo ważny temat, którego w tym szkicu nie podejmę. Warto jedynie zasygnalizować, że oprócz koncepcji „poezji przenikniętej ideami” i „chwytającej sedno doświadczeń egzystencjalnych”, oprócz przeświadczenia, iż sens życia „zakorzeniony jest w wartościach moralnych”, a „kunszt artystyczny odzwierciedla hart moralny”, Herbert zawdzięczał Elzenbergowi wprowadzenie w teologię negatywną Dionizego Areopagity. Jej



pośle małą prozę poetycką zatytułowaną *Raj teologów* (ogłosi ją w tomie *Hermes pies i gwiazda*). Raj ten ma kształt parku angielskiego, a jego jedynym mieszkańcem jest Anioł. Wyposażony w „zgrabny przyrząd zwany sylogizmem”, Anioł „mija kamienne symbole cnót, czyste jakości, idee przedmiotów i wiele innych rzeczy zupełnie niewyobrażalnych” - ale nie spotyka żywego Boga. Odtąd niebo Herberta będzie puste.<sup>15</sup> Tak kończy się „kryzys filozoficzny” poety - i zaczyna krótka, bardzo intensywna praca nad *Jaskinią filozofów*. Pisze go dojrzały już artysta, który na gruzach utraconej wiary – w miejscu swojego wielkiego zwątpienia – zakłada maskę antycznego mędrca i staje do pojedynku z nicością. Walka o ludzką wielkość w obliczu kończącej wszystko śmierci jest głównym tematem debiutanckiej sztuki Herberta.

---

wyraźny ślad pojawia się w wierszach Herberta z lat 50. i 60., a także jego drugim dramacie - poświęconej Homerowi *Rekonstrukcji poety*.

<sup>15</sup> Por. P. Lisicki, *Puste niebo Pana Cogito*, w: *Poznawanie Herberta*, t.1, redakcja A. Franaszek, Kraków 1998.